

Szkołka



niedzielnia

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela druga postu, dnia 16. Lutego 1845.*

Religia.

Cudowny jest Pan Bóg w swych dziełach.

Kasper i Kordula Lipdomscy.

Już blisko sześćdziesiąt lat temu, gdy w pewnym miasteczku była dziewczynka, imieniem Kordula. Żył przy matce, bo ojciec jej dawno był odumark; a ta chowała swe dziecko troskliwie w bojaźni Boga, świątobliwości i ciągłym zatrudnieniu. Nie upłynął dzień żaden, żeby ta dobra matka między innymi zbawiennymi przestrogi i tych nie wlewała w serce wzrastającej córki: „Kochane dziecko! gdzie jest wstyd, tam jest i uczucie swojej godności, czyli szacunek siebie, a ten znów wzbudza bojaźń Boską. — Próżna ciekawość i płochość jest zakałą każdej panienki. — Dziewczyna, jeżeli chce pozostać niewinną, mieć łaskę u Boga i szacunek u ludzi, powinna być ciągle pracą, zatrudnieniem swemu wiekowi i stanowi odpowiadającym, zajęta. Próżnowanie jest jej ochydą; nie powinna więc nawet i tak długo stać gnuśną i nieczynną, ile gołąbek potrzebuje czasu do dziubienia i polknięcia znalezionej ziarn-

ka. — Pobożna zaś, pracowita i pięknie ułożona dziewczyna, będzie także swego czasu i dobrą gospodynią. — Kto nie szacuje tak grosza, jak złotego, ten rzadko do talara przyjdzie, a łatwo do długu. — Mały zysk, a częsty, jest lepszy, niż wielki a rzadki. — Kto mieszka z Bogiem, ten też ma ciągle dobre sumienie.“ — Te i tym podobne, a pełne zbawiennych nauki przysłówia, miała matka Korduli prawie zawsze na końcu języka, byle ją tylko w karności i rzadności utrzymać. Te zaś dobre nauki nie zostały bez błogich owoców, bo stwierdzone były macierzyńskim przykładem. Wzrastała więc córeczka z gruntu serca dobrą i pocziwą.

W dwudziestym drugim roku, za zezwoleniem matki, poszła Kordula za mąż, za Kaspra Lipdomskiego, kowala. Był on biegły w swoim rzemiośle; przeto, gdy jeszcze był na wędrownie, każdy majster rad go u siebie jak najdłużej zatrzymywał; bo wszystko robił z uwagą i namysłem; co tylko wyszło z pod jego ręki, było gruntownie i zgrabnie zrobione. Jednak obok tej biegłości i dobrych przymiotów, był żywego temperamentu, zarozumiały i nieco uparty przy swoim zdaniu, a ślady tych wad, choć małe, przez

całe życie zatrzymał. Trzeciego roku po ożenieniu się, wdał się w kompanię, która, mimo tego, że był dotąd bardzo poczciwy, mogła go na występne bezdróża wprowadzić, i stać się zarodem jego upadku. Częste nawiedzanie téj kompanii uczyniło go nieco opieszałym w robocie: zaczął się opuszczać i zaniedbywać dozoru tak w domu, jako i w kuźni; do późnej nocy trawił czas na grze, a na jutro nie rychło wstawał.

Żona zaś, Kordula, jak najprzezorniej zajmowała się kobięcém gospodarstwem, ciągle to mając na pamięci, że oszczędzony grosz przez żonę w zarządzie domowym tak jest dobry, jak ten, który mąż zarabia; i że niegospodarna żona, przez swoje, choć drobne, ale niepotrzebne wydatki, więcej zmarnuje i przez niedozór i opieszałość zniweczy, niż najpracowitszy i najbieglejszy w swém rzemiośle mąż zarobić zdoła. Wcałém jęj gospodarstwie panował porządek, każda rzecz była na swém miejscu, a każda praca miała swój czas. Te godziny, które niejedna gospodyni, co się nie kochając w porządku, trawi na szukaniu rozmaitych rzeczy, ona na pracy przepędzała; a że wszystkie jęj zatrudnienia kolejno po sobie następowały, przeto każdy w domu wiedział, co i kiedy ma czynić. Nie słyszano tam nigdy swarów i kłótni z czeladzią, bo każdy z ochotą i ukontentowaniem robił, co do niego należało. Bez hałasów, w cichości, a porządku, zarządzała Kordula swym domem, jęj gospodarstwo było jak zegarek regularny, w którym ona wszystkiemu ruch i kierunek nadawała. Dzieci swoje, a miała ich troje, ubierała po prostu i przyzwyczajala do punktualnego posłuszeństwa, do porządku i pracowitości, w przekonaniu, że tetrzy rzeczy stanowią istotę dobrego wychowania.

Nie cierpiała u nich hałasowania i swywoli, poczytując to mniemanie za nierozum, że dzieci powinny wyszaleć w dzieciństwie. Owszem, mawiała, nałóg nie jest żadną drobnostką, i nie można go się tak łatwo pozbyć i zdjąć z siebie, jak sukni. Gdy dzieci za domem przywykły do jakiej nieprzystojności, przynoszą ten zły nałóg ze sobą do szkoły i domu, a wtedy Nauczyciel i Rodzice nie mało użyć muszą trudności do odzwyczajenia ich od tego.

Gdy jęj dzieci chodziły do szkoły, baczne na to dawała oko, aby zadane im wypracowania należycie i w swoim czasie zrobiły. Każdego wieczora pytała: czego się w szkole nauczyły. Przy tém egzaminowaniu podawała jęj się sposobność udzielania dzieciom rozmaitych nauk, w sposób jasny, odpowiadający ich pojęciu, a do tego miała szczególniejszy dar, a przytém i sama kiedyś chodząc pilnie do szkoły, pojęła wszystko dokładnie. Dobry przykład, jaki oboje dawali w domu, mocny wywierał wpływ na umysł i serce dzieci, dlatego téż mieli z nich wielką pociechę.

Bo i ojciec Kasper, po niejakiem czasie porzuciwszy zupełnie kompanię, bałamuctwa i gry, żył bardzo porządnie, a do tego najwięcej przyczyniała się roztropna żona. Co téż tak być powinno; gdyż mąż i żona nietylko powinni swoje dzieci i czeladź trzymać w porządku, ale i siebie nawzajem budować i do dobrego zachęcać. To téż jest najpotrzebniejszém często i najtrudniejszém w stanie małżeńskim. Przecież i to da się zrobić łagodnemi, ujmującemi słowy i dobrym przykładem, byle tylko oboje tak dalece nie przywykli do złego, że się ich nałóg prawie w naturę przemienił. Kaspra żona naprawiła. Przez kilka miesięcy, w mil-

czeniu prawda i cierpliwości, z żalem przecie i smutkiem poglądała na męża postępującego drogą, na której mógł się stać bałamutem i marnotrawcą. Z upragnieniem oczekiwała chwili, w którejby mu mogła to przedstawienie z pożytkiem uczynić; bo znając jego porywczosć, z obawy sprzeczek i zwad, wołała w milczeniu wyczekiwać szczęśliwej pory, niż porywczosć, nieroztropnie, zamiast poprawić, raczej rozjatrzyć umysł męża, przez niewczesne upomnienie. Lecz i w tym czasie, gdy mąż bałamucił, ona wiernie pilnowała swoich zatrudnień, a po ukończonej dzienniej pracy, regularnie z domownikami, jak porządek wymagał, jadła wieczerzą, któraby jej po pracy daleko lepiej smakowała była, bo bez bolesnych westchnień pożywałyby te boskie dary, gdyby i mąż widział obok siebie. Lecz ten cały tydzień wieczerzał z swymi kompanami, a w środę, jak sam powiadał żonie, smaczno na wieczerzą zjadał pieczone kwiczoły i dobrém winem popijał. Słuchając téj, niby chlubnej mowy, żona, zamilkła i utopiła w swych piersiach bolesne westchnienia. Nazajutrz, w czwartek, pilne zatrudnienia zatrzymały Kaspra w domu; już była ósma wieczorem, gdy je ukończył, a więc za późno do zwykłej kompanii; zabierał się tedy w domu do wieczerzy. Stół był nakryty; na jednym końcu zastawiono kartofle, chleb i kawałek mięsa; na drugim zaś stał talerz z bułką pszenną, cztery pieczone kwiczoły i pół butelki wina. Niezmiernie uderzył Kaspra zapach tych zastawionych potraw, ile, że mu się i jeść chciało, bo od obiadu nic nie miał w ustach. Rzekła tedy żona: „Kochany mężu! usiądź do stołu, gdzie ci się podoba. Jeżeli możesz jeść ziemną kartofle i nieco mięsa, a przytém wtedy i owedy wy-

pie szklanę piwa, to i na dalej, jako dobra żona, będę z wszystkich sił pracować i rząd w domu prowadzić, a wtedy przy twojej także pracowitości uczciwie się utrzymać potrafię, i jeszcze na starość i na nieprzewidziane potrzeby kilka groszy oszczędzimy; jeżeli zaś na drugim końcu stołu do pańskich potraw zasiądziesz i tak dalej żyć będziesz, jak te kilka miesięcy, wtedy musisz mi pozwolić odejść z mojemi trzema dziećmi, abym poszukała sposobu, gdzie i jak się nadal utrzymać.“ Więcej już mówić przed łkaniem nie mogła, a właśnie téż i dziecię w kolébce zaczęło płakać; wzięła je tedy do piersi, na które rzewne łzy po jej łicach w milczeniu spadały. Ten czuły widok mocno rozrzewnił ojca, rozropne zaś przemówienie żony tak było w swoim czasie, że przeszło do serca jego. „Kochana żono!“ rzekł, biorąc ją za rękę, „wcale dziś nie mam apetytu ani do téj, ani do owéj potrawy, lecz jutro udam się z tobą do kościoła, a po jutrze od rana wiernie i pilnie, jak ty, do pracy, a do kompanii już nigdy nie pójdę;“ i dotrzymał słowa. Zaraz na zajutrz w rozczuleniu i z zadowoleniem jedli razem obiad, a w niedzielę z równą pociechą wspólnie zjedli owe schowane z czwartku pieczone kwiczoły i wino wypili; w całym zaś domu taka była radość, jakby się odprawiało wesele.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości.

Okopy szwedzkie.

(Z ręk. ks. D. B. B.)

W krajach, przez Słowian zamieszkanych, dają się widzieć miejscami okopy,

a najwięcej w województwie płockiem, które tam powszechnie okopami szwedzkimi zowią, lecz nie właściwie. Środkowe miejsce, czyli wewnątrz tych okopów, jest nadto szczupłe, ażeby potrzebną do obrony ilość wojska dogodnie mieścić w sobie mogło. Szwedzi nie mieli potrzeby i nie byli nawet w stanie usypać w krótkim czasie tak ogromnych wałów. Być tylko może, iż przechodząc tamtędy, w stanowiskach swoich za głównejsze punkta swęj siły one obierali i ztąd okopami szwedzkimi później są nazwane. W okopach pomienionych powszechnie znajdują się warsztwami układane: ziemia, kamienie, chociaż się w bliskości nie znajdują, i węgle do kowalskich podobne; sposób szanowania zupełnie nieśtósowny z wojskowym. Pomiedzy temi warsztwami znajdują się często urny, kości ludzkie niedopalone, broń i różne domowe naczynia. Początek i znaczenie takowych okopów w tym sposobie wywodzi Benedykt Rakowiecki w rozprawie swojej: *O stanie cywilnym Słowian*, czytanej na posiedzeniu towarzystwa królewskiego przyjaćciół nauk w Warszawie: „Dawni Słowianie zajmując większą część Europy i Azji, nie znali jednowładztwa, rządili się gminnie, podzieleni będąc na mniejsze lub większe Rzeczypospolite, rządzone przez Starszych, Starostów, Panów, Zupanów, Hospodarów, Hossudarów, Wojewodów, Bojarów, Kniaziów, Królów lub Carów, którzy powszechnie wolnym głosem wybierani byli. Naczelnicy takowi, czyli Rządcy, czynności, tyczące się dobra powszechnego, ułatwiali w Zgromadzeniach narodowych, które się odbywały niekiedy na ich dworze, najczęściej zaś w świątyniach na to przeznaczonych. Jedne z takowych świątyń nazywano kontynami, od słowa kon, zakon; drugie zwano gradzinami, grodami, horodyszczami, od słowa grodzić, święta

zagroda. Takowych zagród czas zniszczyć nie zdołał, są dotąd lub na wyniosłych górach, lub na rozległych równinach, powszechnie przy gajach i przy wodzie, ogromne wały, niejaki kształt okopów lub twierdzy mające. Alexander Sapięcha takowe gradziny w podróżyach swoich po krajach słowiańskich opisał. Zoryan Chodakowski dociekl, iż one co cztery mile załudnionego miejsca w całej przestrzeni krajów słowiańskich przy miastach były wystawione. Tam wszelkie religijne i narodowe uroczystości odbywano; tam narodowe zgromadzenia uroczyste pod powagą Starszych i Kapłanów ułatwiali wszelkie czynności publiczne. Jedne z takowych zgromadzeń nazywano Sniemami, Sijemami, Semami, od słowa zjać, to jest: zebrać się, zgromadzić się; drugie zaś zwano wetami, wieczami, wiecami, od słowa wet, to jest: prawo, wiadomości. Stósownie do odległości wspomnionych kontyn i grodów, czyniony był statystyczny krajów słowiańskich podział, jak tego ślady historia i język przodków naszych dochowały. Nowogród i territorium doniego należące, podzielonem było na pięć końców, czyli konów, w których ustanowione były sądy, konami zwane. Nazwiska grodu, grodzstwa, ziemi i powiatów, z tegóż pochodzą źródła. Wtym sposobie urządzone Rzeczypospolite i gminowładztwa, utrzymywały między sobą ścisły polityczny związek, mocno przez niektóre celniejsze świątynie utwierdzany. Tam schodzili się Słowianie, dla uproszenia pomocy bogów; tam będąc uciśnieni od nieprzyjaciół, przynosili swe skargi jednoplemiennym, zaklinając ich, aby byli mścicielami ojczyzny i wiary; tam Kapłani zniewalali ich przez swoje wyrocznie do jednomyslnego, dla własnej i powszechnej korzyści, działania.“